



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Graś

Lata wojennej tułaczki

Moje życie zaczęło się zimą, 7 grudnia 1927 roku w miejscowości Piłka, gmina Drawsko, powiat Czarnków. Miejscowość położona w pięknej Puszczy Nadnoteckiej. Ziemia piaszczysta, mało urodzajna, dlatego nadająca się na zalesienie. Moje dzieciństwo upływało jednak nie tam, a w Gdyni, gdzie mieszkałem razem z najbliższą rodziną – ojcem Bolesławem, matką Katarzyną i młodszym rodzeństwem: Konradem (ur. 1933), Zygmuntem (ur. 1937) i Stanisławą (ur. 1939). Już w czasie wojny w 1943 roku przyszedł na świat najmłodszy z nas – Franciszek.

W 1939 roku ojca powołano do wojska. Służył w armii generała Kleeberga. W czasie kampanii wrześniowej dostał się do niewoli niemieckiej, ale udało mu się uciec z transportu do obozu jenieckiego i powrócił do Gdyni.

* * *

Nie wiem dlaczego akurat 1 września 1939 roku mama zrobiła wielkie pranie. Tego dnia wstałem wcześniej i od samego rana pomagałem jej nosząc wiadrami z ulicy wodę i nalewając do balii. Niebo było lekko zachmurzone, pokryte białymi chmurami. Ponad nimi krążył przez dłuższy czas samolot. Z czasem chmury zaczęły unosić się coraz wyżej. Między nimi powstawały otwory i zaczęło przeświecać słońce. Gdy już któryś z kolei raz ruszyłem od ujęcia hydrantu nastąpił potężny wybuch. Ogarnęło mnie wielkie przerażenie. Wiadra z wodą od razu wyleciały mi z rąk. Z drugiej strony kanału, na południe od naszego domu, stała nowo wybudowana elektrownia. Od nas w prostej linii dobry kilometr. Po naszej stronie, to znaczy od Obłuża, na pochylni znajdował się nowy polski statek. Był jeszcze w trakcie budowy. Ukończono już kadłub, ale nie było nadbudówek. Pomiędzy elektrownią a tym właśnie statkiem w sam środek trafiła bomba zrzucona przez krążący samolot. Nie wiadomo jaki był cel pilota. W każdym razie po wybuchu szybko zwodowano statek.

Powstał wielki popłoch w Obłużu i w całej Gdyni. Stało się jasne, że to początek wojny. Hitler spełnił swoje zamiary i napadł na nasz kraj. Ludzie wpadli w panikę, mama też. Posłała mnie do krewnych. Co robić, zalałem całe pranie wodą i ruszyłem. Poleciałem do Peplińskich, a potem do cioci Ani i wujka Bartka Poterackich. Nawzajem się przekonywali, że należy uciekać na wieś, bo mieszkamy za blisko portu wojennego. Na pewno Niemcy będą port i obiekty wojskowe bombardować. W tej sytuacji trzeba szybko opuścić Obłuże.

Naprzeciwko Peplińskich z drugiej strony ulicy pod lasem Tymiana w nocy ustawiono zamaskowane cztery ciężkie, dalekosiężne działa artyleryjskie. Bateria ta prowadziła ostrzał w kierunku Orłowa i gra-

nicy polsko-gdańskiej. W tym czasie znikły całkowicie chmury. Kiedy od Gdyni nadleciał samolot, na pewno zwiadowczy, bateria wstrzymała strzelanie. Widziałem jak artylerzyści w pośpiechu zakładali pokrowce na grube lufy dział, bo dawały odbłask od słońca. Za chwilę nadleciały od morza niemieckie stukasy i bombardowały port wojenny. Nasza artyleria przeciwlotnicza ustawiona na Kępie Oksywskiej i na pozostałych okrętach w porcie prowadziła ostrzał obronny. Tyle na razie było nadziei, że się bronimy przed Hitlerem. Polscy żołnierze przyprowadzili dwa niemieckie wojskowe samochody osobowe z czarnymi krzyżami. Zdobyli je rano po odparciu ataku Niemców za Orłowem. Nastąpiła radość, nadzieja, że Hitler nie taki straszny.

Wracam do domu, a mama w strachu, pełna obaw co robić. Mnie to wszystko na razie ciekawi. Nie zdaję sobie jeszcze sprawy, co może najgorszego nastąpić. Mama postanawia uciekać jak najdalej, w jakieś spokojne miejsce. Ojca nie ma w domu, a więc muszę go zastąpić. Szkoda, że nie mam starszego brata... Biorę z komórki rower ojca. Mama zrobiła naprędce tobołki z podstawowymi rzeczami. Przekładam je przez rower, a następnie wsadzam na niego młodszych braci – Konrada i Zygmunia. Mama robi z prześcieradła nosidełko, zakłada je sobie przez ramię i umieszcza w nim Stasię. Ruszamy w drogę. Obieramy kierunek na zachód do Pucka. Idziemy przez Pogórze, Kosakowo i zatrzymujemy się w Mostkach. Wraz z innymi uciekinierami rozlokowaliśmy się w szkole. Tutaj spędziliśmy najbliższą noc.

Rano pobudka. Wyszedłem do gospodarzy w celu zorganizowania żywności, a przede wszystkim mleka dla Stasi. Pan kierownik szkoły pomaga i użycza kuchni do gotowania posiłków. Panuje ogólne zadowolenie i spokój. Jest wspaniała, słoneczna pogoda, dobra widoczność na morze aż do Helu. Przez kilka dni z rozpaczą obserwujemy jak nasz okręt „Gryf” i mniejsze kutry pod Helem zaciekle bronią się przed atakami stukasów. Był to tragiczny widok. Nasze jednostki pozbawione pomocy, wykorzystując jedynie własną artylerię pokładową, nie miały żadnych szans wobec nawały atakujących samolotów. A na skutki nie trzeba było długo czekać... Rozmawiałem później z Kazimierzem Łabiszakiem, bratem wujka Józefa Łabiszaka, który służył na niszczycielu „Gryf”. Mówił mi, że po zbombardowaniu okrętu dopłynął wpław do Babich Dołów. Mówiono im, aby jak najdłużej się trzymać, bo Anglia i Francja wypowiedzą Niemcom wojnę i udzielą militarnej pomocy Polsce. Okręty te miały przyjąć w morzu floty angielskie i francuskie. Niestety, nie doczekali się...

Po paru dniach spokoju z dala od tragedii wojny, musimy opuścić Mostki. Niemcy przekroczyli polską granicę, a nasze wojska cofają się w kierunku Gdyni. Wyruszamy i my w obawie, że Niemcy mogą dojść do Mostek. Znowu ładujemy wszystko na rower. Drogą oprócz uciekinierów cywilnych maszerują wycofujące się oddziały. Po obu stronach szosy odkryta przestrzeń, pola uprawne. Zaczyna się tragedia. Nadlatuje samolot niemiecki, robi kilkakrotne nawroty nad nami i strzela z broni pokładowej. Groza i spustoszenie! Wojsko i cywile pozostawiają wszystko i w popłochu uciekają w pole. My również – mama ze Stachą, a ja z Konradem i Zygmuntem za rękę. Kiedy samolot oddala się wszyscy ruszają dalej, ale nie trwa to długo, bo za chwilę powraca i sytuacja się powtarza. Słychać krzyki i piski rannych, wojskowi sanitariusze biegają, udzielają pomocy, sprawdzają czy są zabici. Wojsko nie posiada żadnej broni przeciwlotniczej. Widzę jak nasz żołnierz kładzie się na plecach w redlinie kartofli i strzela raz po raz do samolotu, który leci tak nisko nad drogą, że dokładnie mogę zobaczyć pilota. Maszyna zmierza dalej w kierunku Kosakowa, a po chwili następuje wybuch – nie wiadomo czy rzucił bombę czy sam się rozbił. Ale powstała wielka radość, że żołnierz zestrzelił samolot. Otrzymuje od wszystkich gratulacje.

Nastąpił względny spokój. Każdy łapie za swoje toboły i idziemy dalej w kierunku Kosakowa. Wieczorem docieramy do Starego Obłuza. Zatrzymujemy się u gospodarza. Dolne Obłuże jest ostrzeliwane przez artylerię. Jesteśmy w domu przy samej szkole. Z góry widzimy wybuchy, ostrzał przenosi się w kierunku portu. Zmęczeni po całonocnych przeżyciach kładziemy się spać. Ledwie zasnęliśmy, a tu znowu tragedia. Rozpoczyna się ostrzał artyleryjski Starego Obłuza. Gospodarze Tymianowie (Kaszubi) radzą, aby zostać w piwnicy. Dobrze, że spaliśmy w mieszkaniu, bo pocisk trafił w stodołę, która natychmiast się pali. Wychodzimy z majątku Tymiana do szkoły. W tym czasie pali się w kilku miejscach. Ruszamy przez pole w kierunku Dolnego Obłuza. Ja znowu wiozę na rowerze toboły i braci. Idąc redliną mijam leżącego człowieka, który chwilę wcześniej coś mamrotał niezrozumianego do siebie. Wołam wujka Leona Winierskiego, męża Tedzi Peplińskiej. Wujek wyciąga pistolet, dotyka leżącego i każe ruszać dalej... Docieramy do lasu, gdzie zatrzymują nas polscy żołnierze. Wujek opowiada im o leżącym w kartoflach. Zorientował się, że ma aparat, że to na pewno szpieg niemiecki prowadzący ostrzał artyleryjski. Kilku żołnierzy ruszyło w tym kierunku. Nam kazano udać się do wąwozu poniżej w kierunku Obłuza. Był tam wydrążony kanał głębokości 2 metrów, szerokości 4 metrów, pomiędzy lasem a Górnym Obłużem na wysokości kościoła. Kanał był wypełniony wojskiem i cywilami z Obłuza. Zastaliśmy tam naszych krewnych i znajomych. Była też ciocia Peplińska, już starsza, potężna kobieta, poruszająca się z trudnością. Nazywaliśmy ją babcią Peplińską. Dziwił się, w jaki sposób dostała się w to miejsce, ale strach ma przed śmiercią potrafi wyzwoić nadludzkie siły.

Po naszym przybyciu do kanału nastąpiła przerwa w ostrzale artyleryjskim. Następnego dnia o świcie wszyscy powróciliśmy do naszych domów. Zaraz po rozpakowaniu się skończyliśmy nasze zamoczone pranie. Rozpaczaliśmy, że nie ma o ojcu żadnej wiadomości, gdzie się teraz znajduje, czy doczekamy się go żywego. Był doświadczonym żołnierzem. Często wzywano go na ćwiczenia rezerwy. Ostatnio w sierpniu był wezwany do Władysławowa do ochrony willi generała Hallera. Wrócił na parę dni przed otrzymaniem karty mobilizacyjnej. Z naszego otoczenia krewnych i znajomych tylko Szczepan Sekuterski został powołany, reszta wujków pozostała na miejscu, przez to okazywali pomoc, przyjmowali nas do swoich schronów.

Niemcy na razie nie ostrzelali nas, bo w nocy przeganiały ich zorganizowane bojówki cywilów i wojska. Jedną taką bojową grupą kosynierów dowodził Kazimierz Rusinek. Mieli pozakładane kosy na sztorc i gonili w nocy hitlerowców aż za Wejherowo. Niemcy okropnie się ich bali, chociaż były to oddziały starszych ludzi powołanych z rezerwy. Kosynierzy opowiadali, że dużo żołnierzy nie nadążało z ucieczką. Stali, podnosili ręce do góry, wypinali grube brzuchy i fajnie kosynierom trafiało się w te grube brzuchy.

Kursował też polski pociąg pancerny na szybcika zbudowany w porcie wojennym, dobrze uzbrojony w broń maszynową. Robił w szeregach niemieckich duże zamieszanie. Kursował z Gdyni do Chojnic i z Gdyni w kierunku Wejherowa. Utrzymywał Niemców przez jakiś czas na dystans od Gdyni. Oni oczywiście starali się ten pociąg zniszczyć, atakowali samolotami. Widziałem jedną z takich akcji, kiedy pociąg z Gdyni w Grabówku stukasy zaatakowały bombami. Jedna bomba trafiła w środek i dwa wagony zostały. Pozostałe dwa, znajdujące się z przodu, pojechały dalej. W nocy w porcie uzupełniono straty i pociąg dalej brał udział w pogoni za nieprzyjacielem.

Zebrałiśmy się w kilku chłopaków. Ciekawiło nas, jakie uszkodzenia zrobiła bomba zrzucona w pierwszy dzień wojny. Gdy wracaliśmy z zamiarem udania się na Kępę Oksywską doszły do nas słuchy, że stukasy rozbiły naszą baterię przeciwlotniczą stojącą w pobliżu grobowca Dreszera. Mówiono, że zginęło sporo żołnierzy z obsługi. Bateria ta była niebezpieczną zaporą dla samolotów nadlatujących od strony morza. Szliśmy drogą prowadzącą z Gdyni do Oksywi, kiedy usłyszeliśmy czyjś donośny głos, jakby krzyk. Zatrzymaliśmy się. Okazało się, że głos pochodzi spod mostka. Po cichu podkradliśmy się i patrzymy. Nie do wiary, nasz góral nadaje do mikrofonu w mowie dla nas niezrozumiałej. Od razu zorientowaliśmy się, że to niemiecki szpieg przekazuje informacje pilotom samolotów. Akurat stukasy krążyły nad portem wojennym. Dwóch chłopaków pozostawiliśmy z dala na czujce, aby nie byli zauważeni, a z resztą pobiegłem do koszar jednostki saperów, pomiędzy Obłuzem a Oksywiem. Przy kinie spotkaliśmy porucznika, któremu zdaliśmy dokładną relację o szpiegu. Usłyszawszy to, oficer sam zorganizował grupkę żołnierzy i wysłał po górala. Po krótkim czasie sprowadzili go skutego z jego aparatem nadawczym. Udaliśmy się prosto do siedziby pułkownika Dąbka w dolinie powyżej koszar. Porucznik zameldował o przebiegu akcji łapania szpiega. Pułkownik oświadczył, że góral jest mu znany, ale nigdy nie przypuszczał, iż może być szpiegiem. Podziękował nam osobiście, kazał porucznikowi spisać nasze nazwiska i zdać pisemny raport.

Wojna toczyła się dalej, dni leciały, sytuacja się zmieniała, wojsko i cywile tracili nadzieję na obiecaną pomoc. Tylko tyle, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę i nic więcej. Nasza artyleria po oddaniu kilku wystrzałów zmieniała pozycje, tylko wokół lasu Tymiana, a w końcu całkiem zaginęła. Polskie samoloty w ogóle się nie pokazały na niebie. Wyglądało to tak, jakby nasz kraj wcale ich nie posiadał. Pilotów mieliśmy wspaniałych, ale niestety brakowało dobrych samolotów. Dlatego Niemcy mogli się panoszyć w powietrzu.

Po jakimś czasie zaprzestano walki pociąg pancerny, zanikły brawurowe bohaterskie walki kosynierów Rusinka. Niemcy stopniowo zajmowali dzielnice od strony Wejherowa, Chylonii, Leszczynki, Grabówka. W końcu znikła wszelka łączność z Gdynią. Dowiedzieliśmy się też, że bohaterska żaloga Westerplatte poddała się. Zostaliśmy okrążeni od strony lądu od Gdyni po Kosakowo, Babie Doły. Pułkownik Dąbek nie miał jednak zamiaru składać broni, dawał rozkazy, namawiał do obrony.

Przechodziliśmy chwile grozy – wieczne ucieczki, przemieszczanie się z miejsca na miejsce, ze schronu do drugiego schronu. Mama wiecznie panikowała, bała się o nas, o nasze przeżycie. Kiedy Niemcy prowadzili ostrzał dolnego Obłuz, po pierwszym wystrzale brała w pieluchę Stasię i biegła na Górne Obłuże do schronu cioci Władzi. Ja brałem za rękę Konrada i Zygmunia i podążałem za nią. Gdy Niemcy przenieśli ostrzał na Górne Obłuże to uciekaliśmy na Dolne Obłuże do schronu babci Anny i Józefa Peplińskich. Schron ten nie był duży, mieściły się tam dwie rodziny: ośmioosobowa rodzina cioci Łucji i Józefa Osajdów oraz Peplińskich z synem Bolesławem i Isią. Przychodzili też ciocia Ania i wujek Bartek, którzy przyjmowali nas nawet nocami i razem spaliliśmy. Dobrze, że Niemcy co jakiś czas wstrzymywali ostrzał, bo w ten sposób dawali nam czas na posiłki. Prowiant na razie mieliśmy ze sklepu Poterackich i z ogrodnictwa naprzeciwko Peplińskich.

Schrony zmienialiśmy dość często. Gdy lecieliśmy mamą do góry, naprzeciwko kościoła z plebanii ksiądz proboszcz i ludzie wołali nas, aby się do nich schować, bo pociski padają. Znali już nas dobrze.

Mama jednak nie reagowała na zaproszenia i biegła do swojego upatrzonego schronu. Poza nami nikogo nie było widać na ulicy, bo wszyscy już dawno się pochowali. W krótkim czasie wyspecjalizowaliśmy się w ocenie toru lotu pocisku. Jeśli gwizdał to wiadomo było, że leci daleko i trzeba biec. Z chwilą, gdy zmieniał ton z wysokiego na niskie buczenie wiadomo było, że zaraz padnie, a zatem musieliśmy wcześniej padać na ziemię. Jednak mieliśmy wielkie szczęście, że nigdy nas nie trafił nawet odłamek ani w schronie ani w bieganiu. Pan Bóg miał nas w swojej opiece.

Niemcy próbowali wkroczyć do miasta z kierunku Gdyni Grabówka. Nasze wojsko w nocy zajmowało okopy przed torami od strony Gdyni, ale o świcie opuszczało je i chowało się po domach. Wtedy nieprzyjaciel próbował małymi oddziałami przedostać się przez nasyp kolejowy pomiędzy zabudowania. Gdy tylko wyskoczyło paru polskich żołnierzy i oddało kilka wystrzałów, Niemcy w panice uciekali z powrotem za tory.

Byliśmy w schronie u babci Peplińskiej. Pod wieczór przyszedł polski żołnierz i kazał sobie ugotować kurę. Był to potężny mężczyzna, rezerwista już starszy wiekiem. Kiedy już sam zjadł całą kurę, poszedł na środek ogrodnictwa i wykopał spory wykop. Ogrodnictwo było położone pomiędzy drogą a torami i zabudowaniami. Żołnierz kazał nam dostarczyć trzy blaszane wanny wody do jego wykopu. Sam przyniósł trzy karabiny i pełną skrzynię amunicji załadowanej już do magazynków. Powiedział, że wanny z wodą będą służyły do chłodzenia karabinów. Wieczorem żołnierz zniknął, a my zostaliśmy w schronie u Peplińskich, który mieścił się za domem od strony torów, mieliśmy więc widoczność na całe ogrodnictwo i ulicę.

Rano obudziła nas strzelanina. Wujkowie wysunęli się na punkty obserwacyjne. Ja też wychyliłem głowę z ukrycia, ale na terenie ogrodnictwa wśród badyli i kwiatów nie mogłem dostrzec leżącego żołnierza. On zaś do każdego Niemca przebiegającego przez tory oddawał strzał ze swojego stanowiska. Poza tym z żadnego innego kierunku nie było słychać strzałów. Wojna trwała tylko na terenie ogrodnictwa, a my byliśmy obserwatorami tej wojny. Trwała ona bez przerwy do godzin popołudniowych. Na koniec nasz żołnierz – potężne chłopisko, bohater wstał sam i wyciągnął ręce wysoko do góry. Strzelanina ustała. Nastąpiła niesamowita cisza. Tylko żołnierz stał bez najmniejszego ruchu. Dopiero po jakimś czasie Niemcy pojedynczo zaczęli przeskakiwać przez tory. Gdy już była pewna grupa ukryta po stronie ogrodnictwa ruszyli do przeszukania całego gospodarstwa. Żołnierz cały czas stał w miejscu z podniesionymi rękoma. Dopiero gdy Niemcy upewnili się, że jest tylko ten jeden zrobili zbiórkę. Oficer ustawił pododdział w dwuszeregu i podał komendę „baczność”. Następnie podszedł do naszego żołnierza, opuścił jego ręce, uściśnął mu dłoń, po czym wyciągnął papierośnicę i przypalił papierosa. Głośno i wyraźnie przemówił do swojego oddziału, że wszyscy powinni brać za wzór takiego bohatera. Po całkowitym zajęciu przez Niemców Oksywia przejeżdżał koło nas pociąg z polskimi jeńcami wojennymi. W wagonie towarowym w rozsuniętych wrotach stał nasz żołnierz – bohater. Poznaliśmy się. Uśmiechał się do nas i pokiwał ręką. My też kiwaliśmy, wołaliśmy „niech żyje nasz bohater”. Tylko tyle wiemy o nim. Skąd pochodził, jak się nazywał, jaki był jego dalszy los – nie wiadomo. Skąd taki pomysł, odwaga? Sam sobie był reżyserem, scenarzystą, aktorem, brakowało tylko kamery, aby to utrwalić dla przyszłych pokoleń.

Wieczorem w czasie ostrzału artyleryjskiego przemieściliśmy się do góry, do schronu Wyrwów. Rano zobaczyliśmy siedmiu uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Zostali zwabieni do domu stojącego nieco wyżej. Za chwilę wyszli z niego trzej polscy marynarze bez broni, a tylko z bagnietami. Otrzepali się, schowali bagnety do pochwy i spokojnie poszli przed siebie. Po odejściu marynarzy kobieta mieszkająca w tym domu wyleciała z krzykiem, że leżą u niej niemieckie trupy.

Znowu byliśmy w schronie. Rano kobiety robiły śniadanie. Nagle zaterkotał karabin maszynowy. Naprzeciw sklepu Poterackich po drugiej stronie ulicy stała szopka, pomieszczenie na puste opakowania, za którą mieli stanowisko ogniowe trzej polscy żołnierze. Obsługa karabinu zauważyła niemiecką tyralierę poruszającą się swobodnie w kierunku północnym pomiędzy kościołem a lasem. Natychmiast otworzyła ogień. Niemcy natomiast co sił w nogach zaczęli wiać z powrotem za tory. Karabin bez przerwy po nich kosił. W efekcie wieczorem pod drzwiami kościoła leżało dziewięć niemieckich trupów. Byli to już starsi rezerwiści, na pewno po pięćdziesiątce.

Docierają do nas pogłoski, że Westerplatte się poddało, prawie cała Polska zajęta jest przez napastnika niemieckiego, a ze wschodu wkroczyła na nasze terytorium Armia Czerwona. Mieszkańcy Gdyni są już wyczerpani głodem, ciągłym ostrzałem, wiecznym strachem, stałym przebywaniem w schronach. Najgorsze jest to, co przeżywają dzieci bez gorących posiłków.

W tej beznadziejnej sytuacji nasze wojsko postanawia przekazać cywilów na stronę niemiecką. Od samego rana żołnierze chodzą po schronach i kierują wszystkich do miejsca zbiórki przy sali Wenty. Ja znowu biorę rower, wkładam na niego torby i braci i dołączam z mamą do licznej już grupy. W sali znajduje się pełno wojska. Oficer nakazuje, aby na przedzie nieść białą flagę. Mama wyciąga spod Stasi białą pieluchę. Jakiś mężczyzna wrywa sztachetę, mocuje pieluchę i ruszamy do drogi w kierunku Gdyni.

Całkowicie ucichła wszelka strzelanina. Przechodzimy przez tory, a potem przez polskie rowy strzeleckie, w których ukrytych jest pełno naszych żołnierzy. Pokazują nam palcem na ustach, aby ich nie zdradzić. Dalej rozebrany most na rzece, można tylko przejść po leżącej belce nośnej. Wujkowie pomagają przenieść rower, ja dźwigam swoich braci. Niemców spotykamy dopiero pod wiaduktem drogowym. Oficerowie kierują nas przez tory do Grabówka. Ogarnęło mnie zdziwienie, gdy zobaczyłem naszego sąsiada mieszkającego na piętrze u Wenty. Patrzę, a sąsiad – bardzo dobry znajomy ojca – podchodzi do tych oficerów, radośnie się witają, wpadają sobie w ramiona, całują się. Pomyślałem sobie – znowu szpieg, tylko temu zdrajcy udało się.

Dochodzimy do Grabówka. Tam Niemcy oddzielają od nas wszystkich mężczyzn, naszych wujków też. Kobiety i dzieci prowadzą do Gdyni, gdzie umieszczają nas w małym kościółku przy ul. Świętojańskiej. Ścisk tak wielki, że nie ma możliwości się położyć po dalekiej wędrówce. Dostajemy z wojskowej kuchni w papierowych talerzach zupełny chleb. Wreszcie coś gorącego po tylu dniach. Organizujemy z ciotką Anią Poteracką ucieczkę. Biorę rower i od tyłu kościoła, nie zauważeni przez Niemców ruszamy do ciotki i wujka Stencłów. Mieszkają z ośmiorgiem dzieci w dość okazałej piętrowej willi, nie ma więc problemu z pomieszczeniem. Rano idziemy w poszukiwaniu jedzenia na tyle osób, przede wszystkim mleka i kaszki dla młodszych. Na ulicach pełno wojska w starych mundurach i w starych hełmach z wysokimi pikami. Sklepy kolonialne nieczynne. Chodzimy z garnkami i wiadrami po zupełny do wojskowych kuchni, gdzie tylko możemy to coś zbierać. Wodociąg nieczynny, wodę pobieramy więc z ręcznej pompy poniżej ul. Wojska Polskiego. Zdobyliśmy gdzieś sporo cukru, dziewczyny nasze topią na patelniach wspaniałe karmelki.

Po naszym przejściu do Niemców na drugi dzień szykowałą się do wymarszu kolejna grupa cywilów. Niestety żołnierze polscy nie pozwolili już na to, obawiając się zdrady swoich stanowisk. Taki przypadkiem miał miejsce po przejściu naszej grupy.

Przy pięknej słonecznej pogodzie przez jakiś czas chodziliśmy obserwować z wysokości Kamiennej Góry, jak nasze Obluże walczy i się broni. Widzieliśmy całą Półwysep Helski bombardowany przez samoloty i zmasowaną obronę naszych oddziałów. Była to już beznadziejna obrona, gdy cała Polska była zajęta przez najeźdźców, a na oczekiwaną pomoc nie było widoku. Z naszego punktu obserwacyjnego zauważyliśmy, że ucichła strzelanina na Oblużu i Oksywiu. Mogło to tylko jedno znaczyć, że poddał się ostatni punkt obrony wybrzeża. A zatem dla nas koniec wojny. Polska jest w niewoli, rozdarta przez dwóch najeźdźców.

Rano pakujemy nasze manatki i ruszamy do Obluża z obawą, czy nasz dom jeszcze stoi i nasze mieszkanie nadaje się do zamieszkania. Dobrze, że jeszcze zachowałem nasz rower, dzięki któremu dość szybko i szczęśliwie docieramy do domu. Budynek jak i mieszkanie zastajemy nienaruszone. Gospodarz Głapka i sąsiedzi pilnowali. Polskich jeńców wojennych Niemcy wywożą pociągiem z Oksywia. Dowiadujemy się, że pułkownik Dąbek przed poddaniem Oksywia odebrał sobie życie. Może dlatego, że nakazano mu bronić się do czasu otrzymania pomocy, która nie nadeszła. Spełnił swój obowiązek według rozkazu, honor oficera był dla niego czymś większym niż życie.

Przerażała nas ilość wojska niemieckiego maszerującego, przemieszczającego się w różnych kierunkach. Nasz największy problem teraz to zdobyć pożywienie. Częściowo zaopatrujemy się w sklepie Poterackich. Najważniejszy jest chleb. Dowiaduję się, że na Górnym Oblużu od strony Kaczego Dołu uruchomiono piekarnię. Następnego dnia rano lecę tam i stoję w długiej kolejce. Mam przy sobie na smyczy małego pieska, rasowego jamnika. Dopiero co zostałem jego posiadaczem. Mama pozwoliła trzymać go w mieszkaniu. Może dlatego, że byłem tak dzielny i pomocny w tych krytycznych chwilach. Podchodzi do mnie właścicielka piekarni i pyta czy nie sprzedałbym jej mojego pieska. Nie zgadzam się. Proponuje w zamian kilka chlebów. Ogarnia mnie wielki żal, to mój pierwszy w życiu piesek. Pokusa za chlebem wielka, a więc żeby ratować rodzinę przed głodem zgadzam się w końcu. Kobieta prowadzi mnie do piekarni, gdzie ładuję do plecaka kilka bochenków i dodatkowo dostaję obietnicę otrzymania codziennie darmowego chleba prosto z piekarni.

Następnego dnia biorę kankę i idę naprzeciwko naszej uliczki po mleko do sąsiada Stankiewicza. Na rogu skrzyżowania stoi żołnierz z karabinem. Woła mnie do siebie, po czym prowadzi na plac między ul. Rzemieślniczą a kościołem. Na placu sporo zgromadzonych ludzi. Żołnierz stawia mnie do grupki chłopców w moim wieku. Niedaleko nasz listonosz rozdaje listy, głośno wyczytując nazwiska. Oficer niemiecki podchodzi do niego i nakazuje zaprzestania tej czynności. Listonosz nie ustępuje, prowadzi z oficerem kłótliwą dyskusję, aż wreszcie oficer ustępuje i odchodzi. Naprzeciwko naszej grupy żołnierze ustawiają w czwórki starszych chłopaków. Widzę tam moich starszych kuzynów Feliksa i Stanisława Wyrwów. Do naszej grupy doszedł jakiś major i biegle po polsku wyjaśnia, że w nocy był napad na niemiecką policję na Oblużu. Jeżeli sprawcy napadu nie zgłoszą się sami, to ze starszej grupy dziesięciu będzie rozstrzelanych. Za chwilę odbywa się odliczanie do dwóch. Co drugi z chłopców występuje z szeregu, a następnie żołnierze prowadzą wybranych pod skarpe przed kościołem. Potem odbywa się długa seria z karabinów i cała dziesiątka padła od razu.

Nastąpiła wielka cisza, słychać było tylko wśród zebranych ludzi płacz i szlochanie. Komenda żołnierzy i wymarsz. Wszystkich pozostałych chłopców rozpedzono do domów, zakazując podchodzenia do rozstrzelanych. W tajemnicy Niemcy zakopali rozstrzelanych w nocy pod lasem w wydrążonym rowie. Był to pierwszy pokaz, co faszyci potrafią i na co ich stać.

Niedługo przyszła do nas radosna chwila – nasz ojciec wrócił z wojny cały i zdrowy. Byliśmy szczęśliwi, że znowu jesteśmy razem. W komplecie rażniej będzie przeżyć w niewoli okupanta. Ojciec wyjechał jako cywil, a wrócił dumny jako polski żołnierz w mundurze, w długim ułańskim płaszczu i rogatywce. Udało mu się uciec z transportu w Łodzi. Dzięki obyciu starego wojaka i znajomości języka niemieckiego wykołował faszystów. Na kupionym od kogoś rowerze dojechał do Bydgoszczy. W czasie kilku kontroli w drodze kłamał, że puszczono go z niewoli do domu. Od jednego z niemieckich oficerów otrzymał nawet pisemne zezwolenie na dojazd do Gdyni.

Krewni i znajomi szybko dowiedzieli się o powrocie ojca. Zaraz się zjawili na powitanie. Opowiadaliśmy sobie nawzajem przeżycia wojenne, jakie tragedie przeszliśmy. Ojciec opowiadał, że w Kowlu został wcielony do armii generała Kleeberga. Prowadził pododdział zwiadu konnego, brał udział w bitwie pod Kockiem i w wielu potyczkach. Rozbili m.in. niemiecki oddział zwiadu motocyklowego. Na koniec walk generał Kleeberg dał im rozkaz zniszczenia broni i oddania się do niewoli. W ostatnich słowach powiedział do żołnierzy, że wojny nie przegrali. Na razie wstrzymali jedynie walkę. Tylko jeden major nie dostosował się do polecenia, zorganizował ochotników i ruszył w las. Jak się później okazało był to major Hubal.

Tym opowiadaniem ojciec dodał nam nadziei, że będzie Polska i pomścimy na najeźdźcach naszą tragedię. Wkrótce potem ojciec zgłosił się z pismem od oficera na posterunek policji. Kilka dni później, 5 października 1939 roku rano policjant dostarczył wezwanie i polecił przygotować podręczny bagaż na podróż. Potem dowieziono nas na dworzec kolejowy i wysłano pociągiem do Niemiec. Z pociągu odebrał nas inspektor Wagner. Powozem konnym dowiózł nas do majątku rolnego w miejscowości Birkenholz Kreis Friedenberg, którego właścicielem był von Langen-Steinkeller. Zamieszkaliśmy z kasernie przeznaczoną dla Polaków. Ojciec jako znający język niemiecki wyznaczony został na włodarza do rozdzielania pracy i załatwiania wszelkich spraw dotyczących przymusowych robotników z Polski. Matka prowadziła kuchnię w kasernie aż do końca wojny. Mnie jako 12-latkę zatrudniono w gospodarstwie.

Początkowo wykorzystywano mnie przy wykopkach buraków cukrowych. Ciężka to była praca jak na tak młodego chłopca, zwłaszcza że wykonywałem ją od świtu do wieczora. W zimie zlecano mi między innymi karmienie cielaków w chlewni, przesypywanie zboża w spichlerzu, różne czynności w gorzelnii i inne obowiązki na terenie gospodarstwa. Na początku lata 1940 roku zostałem przydzielony do zaprzęgu trzykonnego z maszyną do hakania buraków. Moim zadaniem było oczyszczanie kół maszyny z suchego zielska pozostawionego na polu, które często zapychało haczkę. Goniłem bez przerwy na odcinku 4 m od koła do koła, cały spocony i zdyszany. Wieczorem skarżyłem się ojcu, że ostatkiem sił podnosiłem haczkę, a Niemiec krzychał do mnie schnell. Myślałem, że chodzi mu o to, żebym się śmiał. Bardzo mnie to denerwowało, bo nie dość, że pracowałem bardzo ciężko, to jeszcze musiałem się śmiać. Później dopiero ojciec wyjaśnił mi, że schnell po niemiecku znaczy szybko.

Od 1941 roku miałem łatwiejsze zadanie, bo zatrudniono mnie przy zagrabianiu (przy pomocy konia) kucerny dla krów. Jeniec francuski widłami układał kupki i ładował na wozy zaprzężone w woły, które dowoziły kucernę do chlewni. To była nasza codzienna praca od rana do wieczora z godzinną przerwą w południe.

Pamiętam jedno zdarzenie, gdy zjeżdżaliśmy wozem naładowanym kucerną na przerwę obiadową do wioski. W pewnym momencie zauważyliśmy lisa, który skradał się na wysokości kaserny w kierunku wsi. Złapaliśmy z Francuzem za widły i pobiegliśmy za lisem. Woźnica tymczasem pojechał dalej do majątku. Goniony przez nas lis okazał się bardzo chytry. Szybko pognął do przodu, przeskoczył przez płot w gospodarstwie dziedzica majątku i dostał się do kurnika. My za nim przez ogrodzenie i dalej gonić szkodnika. Powstało straszne zamieszanie wśród kur. Po jakimś czasie zmęczony lis chciał z powrotem przeskoczyć ogrodzenie, ale w tej właśnie chwili Francuz nadział go na widły. Ze złapanym zwierzęciem, jeszcze żyjącym, udaliśmy się do pałacu dziedzica. Świadkiem całego zajścia była Hilda opiekująca się kurami. Pobiegła za nami do właściciela majątku i opowiedziała mu o wszystkim. Francuz dostał za to w nagrodę paczkę tytoniu. Ja byłem jeszcze za młody i nie paliłem, więc nie dostałem nic. Byłem jednak bardzo dumny z siebie, że uratowałem honor Polaków, bo Hilda twierdziła wcześniej, iż to Polacy kradną kury. Teraz przekonała się, że złodziejem był ten lis i przeproszała nas za niesłuszne posądzenia.

Po jakimś czasie przeniesiono mnie z majątku do właściciela warsztatu ślusarsko-kowalskiego w tej samej miejscowości. Nazywał się Franz Lenz. Miał żonę i czworo dzieci. U majstra Lenza byłem na wyżywieniu, ale na nocleg przychodziłem do kaserny. Moim obowiązkiem było zajmowanie się koniem, jeżdżenie po zaopatrzenie techniczne, doglądanie pola (majster miał około 1 ha ziemi) i pomoc

w warsztacie. Najcięższa jednak była praca w kuźni, zwłaszcza przy formowaniu metalowych obręczy do kół wozów. Wszystko robiło się ręcznie na kowadle.

W warsztacie Lenza oprócz mnie pracowało kilku Polaków oraz dwóch jeńców wojennych dowożonych codziennie z obozu jenieckiego. Oprócz tego uczyło się tu fachu od dwóch do czterech młodych Niemców, którzy po ukończeniu praktyki powoływani byli do wojska.

We wsi najwięcej pracowało Polaków. Na stałe u bauerów zatrudniano tylko naszych. W majątku natomiast oprócz Polaków pracowały rodziny chorwackie, rosyjskie, ukraińskie, a także niemieckie – przesiedlone z terenów bombardowanych przez lotnictwo angielskie i amerykańskie. Dowożono też z obozów jenieckich żołnierzy francuskich, rosyjskich, serbskich oraz naszych oficerów z Oflagu II C Woldenberg. Z polskich rodzin zatrudnionych w majątku pamiętam Świtałów, Francuzików, Tymków, Nowackich, Ślesickich, Milczarków, Pacutów, Talagów, Lubików, Wiśniewskich, Kotlarskich. Było też wiele osób samotnych, jak np.: Franciszek Zydor, Urszula Banecka, Gregor Bojko – Kaszub spod Wejherowa, Józef Krystek, Eugeniusz Rojek, August Lewiński, czy mój wujek Stanisław Pepliński. Ogółem było nas początkowo około 100, a w następnym roku około 150.

Spośród Polaków, z którymi pracowałem w majątku mógłbym wymienić wielu prawdziwych patriotów. Do takich należał Stanisław Pepliński, który niestety nie doczekał końca wojny. Ale zdarzali się też kapusie i zdrajcy. Kapusiem był Edmund Bartkowiak pochodzący z gminy Drawsko. Zatrudniony był w Brzozie u bauera. To właśnie on przyczynił się do śmierci Peplińskiego i Kotlarskiego. Bartkowiak kilka razy przychodził do kaserny na sobotnie potańcówki. Pewnego razu nasi próbowali zorganizować zamach na niego. W sobotę wieczorem ustawili się z widłami przy wyjściu. Mój ojciec dał znak na sali przez wyłączenie światła. Niestety Bartkowiakowi udało się po ciemku uciec. Schował się u bauera obok kaserny, gdzie za jakiś czas przyjechało Gestapo i oswobodziło go. Od tego czasu w naszej miejscowości więcej się nie pojawił.

W ciągu dnia w kasernie zostawały tylko kucharki i jedna kobieta opiekująca się niemowlętami. Po wyjściu ludzi do pracy inspektor Wagner przeprowadzał w kasernie kontrolę czy ktoś się nie ukrywa. Od dziecka do najstarszego miał każdy z nas zajęcie przez cały rok. Za darmo jeść nie dawali. Wyżywienie w pierwszym okresie było dość możliwe. Ojciec co miesiąc dokonywał nawet uboju kilku świń hodowlanych na jedzenie dla Polaków. Po niedługim czasie jednak inspektor Wagner zakazał tego i odtąd żywność dowożona była przez mleczarza ze Strzelec, według przydziału kartkowego. Dodatkowo wiele rodzin korzystało z działek warzywnych, które zaradni Polacy porobili sobie na nieużytkach w pobliżu kaserny. Mężczyźni uprawiali nawet poletka tytoniu i to różnego gatunku. Przy kasernie były puste poniemieckie chlewy, które kiedyś służyły fernalom. W tych chlewach hodowaliśmy dla siebie króliki, a rodzina Nowackich miała nawet barana. Tak Polacy radzili sobie z dożywianiem i w sumie specjalnie nie można było narzekać.

Życie towarzyskie wśród Polaków układało się bez większych konfliktów. Wszyscy szanowali się nawzajem. Mimo całodniowej pracy od poniedziałku do soboty, znajdowano jeszcze czas i siły na uprawę wspomnianych działek, grę w karty czy inne sprawy. Prawie w każdą sobotę wieczorem urządzano potańcówki w stołówce przy kuchni. Przychodzili bawić się tam nie tylko nasi, ale również Polacy ze Strzelec i zatrudnieni przez bauerów. W niedziele nieraz pojawiali się na zabawach jeńcy francuscy i włoscy. Oczywiście mieliśmy też muzykantów. Ojciec Nowacki kupił swojemu synowi Waldkowi akordeon, mój ojciec grywał na skrzypcach, a ja na listku bzu, jako na klarncie. I w ten sposób stworzył się zespół muzyczny. Pięknych koncertów słuchaliśmy, gdy przychodzili jeńcy francuscy i włoscy. Byli wśród nich profesorowie konserwatorium, którzy doskonale grali na akordeonie.

Zabawy urozmaicaliśmy sobie różnymi trunkami, jak samogon czy piwo z buraków cukrowych własnej roboty, nazywane szlampą. Wytwórnę samogonu prowadził mój ojciec wspólnie z Rojkiem. Pędzili bimber nocą w kuchni przy pomocy zmajstrowanej przez siebie aparatury. Ja dyżurowałem w oknie od strony ulicy, aby nie nakryła nas nocna kontrola Landwachy.

Przez cały czas pobytu w majątku niewiele mieliśmy informacji o tym co się dzieje na świecie. Próbowaliśmy więc dowiedzieć się czegokolwiek na różne sposoby. Na przykład od przyjeżdżających na urlop żołnierzy niemieckich, dawnych uczniów majstra Lenza. Umiałem już trochę mówić po niemiecku, a ci żołnierze znali mnie już dobrze i mieli do mnie zaufanie. Mogliśmy więc podyskutować sobie. Początkowo chwalili się jaka to ich armia jest mocna, jaką ma wspaniałą technikę. Cieszyli się, że z taką łatwością zajmują ogromne tereny sowieckie. Wyśmiewali się z Rosjan, że noszą na sznurkach karabiny i chodzą w filcowych butach. Ale w następnych latach mieli już inne zdanie o Armii Czerwonej. Dziwili się skąd nabrali tak wiele potężnych czołgów, samolotów i straszliwych „Katusz”. Nie chwalili się już ilu zabili żołnierzy, ile terenu zdobyli... Sami przyjeżdżali wówczas okaleczeni, ślepi, z odmrożonymi kończynami. Czasem przychodziła wiadomość, że ten czy tamten poległ na froncie.

W związku z tym, że jeździłem do magazynów kolejowych po towary techniczne do warsztatu, miałem możliwość obserwowania ruchu transportów wojskowych. Widziałem pociągi jadące na wschód wypełnione żołnierzami, platformy załadowane czołgami, działami i samochodami. Żołnierze

elegancko umundurowani, weseli, śpiewali swoje buńczuczne piosenki, że Niemcy maszerują teraz przez Europę, a jutro zdobędą cały świat. Wagony udekorowane plakatami i oflagowane. Za to pod koniec wojny sytuacja odwrotna. Z uciechą patrzyłem na powracające z frontu transporty kolejowe z wagonami wypełnionymi rannymi. Wyglądali jak zabandażowane kukły. Powracali bez śpiewu, bez hasel zwycięskich i bez broni. Wtedy już wiedziałem, że zbliża się koniec faszyzmu. Jednak zanim to nadeszło, przeżyliśmy jeszcze wiele przykrości i poniżenia, a czasami nawet radosnych chwil.

Za posiadanie radia groziła kara śmierci, nie wolno też było czytać gazet. Początkowo miejscowi Niemcy obawiali się rozmawiać z Polakami na temat wojny. Wobec tego byliśmy zmuszeni radzić sobie sami. W pokoju państwa Katarzyny i Antoniego Tymków zorganizowaliśmy potajemnie centrum prasowe. Nie pamiętam już skąd braliśmy gazety niemieckie, prawdopodobnie mleczarz przywoził ze Strzelec. Odbywało się to wieczorami. Pani Katarzyna czytała na głos po niemiecku, a pan Antoni tłumaczył wszystko na język polski. Przeważnie była to zakłamana propaganda sukcesu, ale spośród tego bełkotu można było też wyłowić trochę prawdy. Po przeczytaniu prowadzone były gorące dyskusje na temat przyszłości. Prawdę o sytuacji na froncie poznawaliśmy od przywożonych do pracy w majątku jeńców sowieckich i francuskich.

W ostatnim roku wojny w okolicy Sławna zaczęła się budowa okopów strzeleckich i przeciwpancernych. Wioska i majątek dziedzica musiały wystawić zaprzęgi konne do tej roboty. Takim zaprzęgiem codziennie przewoziłem drzewo na budowę.

Święta Bożego Narodzenia 1944 roku spędziliśmy w pogodnych nastrojach. Życzyliśmy sobie nawzajem doczekania wolności. Jednak mało kto przypuszczał, że są to już nasze ostatnie święta w niewoli. Z początkiem ofensywy styczniowej 1945 roku na drogach rozpoczął się prawdziwy harmider. Wszystkie zatłoczone były wojskiem niemieckim i cywilami uciekającymi z Prus Wschodnich. Do naszej miejscowości – Brzozy, zjeżdżały tabory wojskowe. Żołnierze zabijali świnie i co się dało, nocowali, a następnego dnia rano ruszali dalej na zachód. Ostatnim transportem zabrali się wszyscy mieszkańcy pałacu i niektórzy z wioski. W majątku pozostało kompletnie wszystko – obora z krowami, świniami, owcami, konie i woły pociągowe. Spichlerz pełen zboża. Gorzelnia z zapasami spirytusu.

Pod koniec stycznia ruch na drogach na krótko się uspokoił. Zrobiła się cisza przed burzą. W wiosce i na terenie majątku życie toczyło się normalnie. Każdy wykonywał swoją pracę. Nie dochodziły do nas żadne komunikaty, nie wiedzieliśmy co się na świecie dzieje. Wreszcie pewnego dnia po południu nadjechała od strony Strzelec bateria niemieckiej artylerii konnej i błyskawicznie zajęła stanowisko bojowe za ogrodzeniem naprzeciwko kaserny, gdzie mieszkaliśmy. Wśród Polaków powstało wielkie zamieszanie. Większość w popłochu uciekła do sąsiedniej miejscowości, oddalonej od nas o 5 km. Postanowiliśmy z ojcem, że nasza rodzina zostanie w kasernie. Razem z nami pozostał też Eugeniusz Rojek. Opuszczone pomieszczenia zajęli żołnierze niemieccy. Wśród nich było wielu własowców, którzy plądrowali wszystkie mieszkania. Nie trwało to jednak długo, gdyż przed północą podjechały dwa czołgi niemieckie i po konsultacji dowódców bateria została wycofana. Znowu wielkie zamieszanie – zaprzęganie koni do dział, ładowanie amunicji na tabory i ucieczka na zachód.

Po odjeździe wojska nie było już mowy o spaniu. W dobrych nastrojach czekaliśmy co nam przyniesie los. Postanowiliśmy sprawdzić co pozostało po żołnierzach w stodole. Zastaliśmy tam dwa konie wojskowe pod siodłem oraz zamordowaną, rozebraną do naga dziewczynę, którą okazała się przedszkolanka – Niemka. W Brzozie spokój – z dala słychać pojedyncze wystrzały artyleryjskie. Dopiero około drugiej w nocy dostrzegamy na oddalanej o około 1 km drodze posuwające się oddziały piechoty i czołgi. Biorę konia stojącego w stodole, wskakuję na niego i pędzę przez pola galopem, aby sprawdzić czy to już Rosjanie. Podjechałem pod samą drogę i wtedy zorientowałem się, że to wojsko radzieckie. Ogarnął mnie ogromny strach. Co robić?! Przychodzi mi do głowy myśl, aby ich powitać, jednak ostatecznie postanawiam się jechać wzdłuż kolumny i powoli oddalić z powrotem do kaserny. Po szczęśliwym powrocie do swoich z radością oznajmiam, że to wojska radzieckie.

Nad ranem około godziny szóstej ruszyliśmy z ojcem i Genkiem do wioski oznajmić nową wiadomość. Po drodze żadnego człowieka – pustki. Ale nim dotarliśmy do celu zobaczyliśmy powracających do Brzozy Polaków. Zawróciliśmy więc do kaserny i wszyscy rozlokowaliśmy się ponownie w naszych pomieszczeniach. Przyszła pora zgłosić się do pracy, nakarmić konia i samemu coś zjeść. Majster i majstrowa, którzy nie wyjechali z innymi Niemcami, byli bardzo przygnębieni po moich opowiadaniach o nocnych przeżyciach. Prosił abym został z nimi i bronił ich jak przyjdą Rosjanie.

Było już po śniadaniu, kiedy do kaserny dojechało na koniach dwóch żołnierzy radzieckich. Sporo mieszkańców wyszło im naprzeciw. Zaczęliśmy witać oswobodzicieli i gościć ich u siebie. Dowiedzieliśmy się od nich, że idą na Berlin bić faszystów i że jesteśmy wolni, możemy wracać do domu. Opowiadali też, że jest stworzona polska armia i już bierze udział w walkach. W tym czasie zauważono wychodzących z bloku mieszkalnego dwóch żołnierzy niemieckich, którzy pomaszerowali przez pole w kierunku lasu. Rosjanie podlecieli do nich i oddali serię z automatu. Jeden z Niemców upadł ranny, ale zaraz został przez nich dobity. Drugiego doprowadzili do kaserny. W rozmowie okazało się, że jest

Polakiem ze Śląska. Rosjanie powiedzieli, że wezmę go do niewoli, ale potem będzie mógł wstąpić do I Armii WP. Przed odejściem kobiety nakarmiły go, dały kanapki na drogę i piękny szalik. Potem we trzech ruszyli w kierunku głównej drogi na zachód. Niestety sowieci nie dotrzykali danego Ślązakowi słowa, bo po przejściu około 500 m zamordowali go strzałem w tył głowy, po czym ograbili z butów i kanapek.

Około południa ktoś oznajmił, że wojska radzieckie maszerują przez wieś. Ruszyliśmy w stronę bramy majątku. Tym razem szły drogą całe kolumny piechoty i tabory konne. Pewien oficer zebrał nas wszystkich na placu i oznajmił stanowczo, że mamy być posłuszni Armii Czerwonej i nigdzie się nie ruszać, żeby nie przeszkadzać żołnierzom.

Wiedząc o rozbiciu magazynów gorzelni poleciałem tam z dwoma bańkami po mleku i napełniwszy je przyleciałem z powrotem pod bramę. Rosjanie podchodzili do mnie po kolei z menażkami i garnuszkami, a ja nalewalem im wódki. W pewnym momencie jeden z nich zauważył, że mam pod rękawiczką zegarek. Natychmiast kazał mi go oddać, a gdy sprzeciwiłem się i próbowałem powoli oddalić się za bramę, wyjął pistolet maszynowy i zaczął mi grozić. Na szczęście doleciał mój ojciec, odpiął zegarek i oddał Rosjaninowi, który na rękach miał już kolekcję około 15 sztuk, więc nową zdobycz musiał sobie zapiąć na nodze. Zapewne w ten sposób ojciec ochronił mnie przed śmiercią w dniu oswobodzenia...

Po kolacji majster poprosił mnie, abym zostałem u niego na noc. Zgodziłem się, myśląc że odpocznę i wyśpię się. Niestety, całą noc nie zmrzyłem oka, bo musiałem przyjmować „interesantów” pytających o dziewczyny i wódkę. W tym czasie córki majstra ukryliśmy na strychu, a po alkoholu kierowałem wszystkich do gorzelni. Rano po śniadaniu ruszyłem do kaserny. Po drodze kilkakrotnie byłem zatrzymywany. Musiałem tłumaczyć, że nie posiadam już zegarka.

Po przejściu pierwszej linii frontu do wioski wszedł drugi rzut wojsk zapasowych – na pół cywile z karabinami na sznurkach. Podobno byli to więźniowie, którym obiecano darowanie kary za udział w wojnie.

Zaczelśmy się wszyscy naradzać, co w obecnej sytuacji robić – ruszać do domu czy jeszcze pozostać na miejscu. Co będzie bezpieczniejsze? Zwłaszcza, że coraz częściej mamy wizyty żołnierzy dotyczące wciąż tych samych zapotrzebowań – dziewczyny, wódka, zegarki. Wojska frontowe poszły daleko do przodu, a pozostali bezkarni, nikomu nie podlegający maruderzy. Waldkowi dwóch takich żołdatów zabrało akordeon. Śledziliśmy ich dokąd poszli. Przypadkowo natrafiliśmy na majora NKWD, którego przekupiliśmy butelką spirytusu i dzięki temu odzyskaliśmy akordeon.

Inaczej sobie wyobrażaliśmy nasze oswobodzenie, ale faktem było, że staliśmy się wolni i trzeba było myśleć o ucieczce z Brzozy i powrocie do Polski. Nasza rodzina, podobnie jak inne, postanowiła opuścić wioskę. Zaraz udałem się do chlewni, aby załapać się jeszcze na woły pociągowe. Zdążyłem wyprowadzić dwa woły z uprzężą. Umieściłem je na noc w magazynie, gdzie stały siewniki i ukryłem za maszynami. W domu oznajmiłem rodzinie, że mamy przygotowany transport i żeby na rano szykowali się do drogi. Okazało się, że dobrze zrobiłem biorąc woły, bo kto zabierał konie ten daleko nie dojechał – odbierali mu je Rosjanie...

Rano poszedłem do wołów, wyprowadziłem je na plac i zaprząłem do wozu przygotowanego jeszcze przez Niemców do ucieczki. Był to duży wóz drabiniasty, zadaszony plandeką. Podjechałem nim pod kasernę, gdzie załadowaliśmy co trzeba, w tym cztery bańki spirytusu. Po krótkim pożegnaniu ze znajomymi ruszyliśmy w kierunku Strzelec, aby jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

Strzelce – kiedyś piękne, zabytkowe miasto, teraz wyglądało strasznie. Nie było tu żadnych walk, bo Niemcy opuścili je bez obrony, a mimo to żołnierze radzieccy chodzili z pochodniami i podpalali wszystkie domy...

Jeszcze tego samego dnia dojechalśmy do Nowego Drezdenka, gdzie zanocowaliśmy w opuszczonej kamienicy. Początkowo planowaliśmy dojechać do Piłki koło Drawska – rodzinnej wioski mojego ojca i mojego miejsca urodzenia. Zamierzaliśmy tam przeczekać najgorszy okres, aż do całkowitego zakończenia wojny. Niestety, napotkaliśmy na przeszkodę nie do pokonania. Okazało się bowiem, że most na Noteci został zerwany. Mimo zimy i silnego mrozu nie zdecydowaliśmy się przeprawić przez rzekę po lodzie. W tej sytuacji zmuszeni zostaliśmy do zmiany kursu – na Gdynię. Wprawdzie zdawaliśmy sobie sprawę, że pokonanie odległości 300 km bez mapy będzie sprawą trudną, ale nie widzieliśmy innego wyjścia.

Po drodze przeważnie szukaliśmy noclegu w opuszczonych gospodarstwach, aby znaleźć pożywienie dla siebie i wołów. W tamtym czasie sporo było takich pozostawionych bez opieki majątków. Stajnie i chlewy były przepełnione głodnym bydłem i trzodą. Gdy przyjeżdżaliśmy do takich miejsc zaczynaliśmy od nakarmienia zwierzyny, żeby można było spędzić spokojnie noc, bez ryków krów i pisku świń. Rano po uporządkowaniu inwentarza znów ruszaliśmy dalej. Okazało się, że w niektórych miejscach wojska niemieckie stawiały jeszcze opór, między innymi w okolicy Piły, musieliśmy więc przedzierać się bocznymi drogami. Jeśli pokazaliśmy się na głównych szlakach, zaraz nas wojska radzieckie usuwały na bok.

W końcu lutego dotarliśmy do miejscowości Lutowo koło Sępólna Krajeńskiego. Była to rodzinna miejscowość mojej drugiej matki Katarzyny z domu Poterackiej. W domu rodzinnym zastaliśmy babcię, siostrę matki Madzię i mojego brata Konrada. Wszyscy bardzo się ucieszyli ze spotkania, a najbardziej obie kobiety, że nie będą same, bo z mężczyznami będzie bezpieczniej.

Przez jakiś czas panowało bezprawie. Do niektórych miejscowości wpadały grupki niemieckich żołnierzy i dokonywały wyroków. Żyliśmy w niepewności jutra i strachu, że kiedyś mogą do nas trafić. Bez przerwy czuwaliśmy z sąsiadami, po nocach wystawialiśmy czujki, aby w razie nadchodzącego niebezpieczeństwa ukryć się na czas. Trwało to do momentu nadejścia wojsk polskich, które oczyściły teren z resztek oddziałów niemieckich. Zdziwiło nas, że oficerowie Wojska Polskiego posługują się tylko językiem rosyjskim, ale później wytłumaczono nam dlaczego.

Od razu po odejściu naszych żołnierzy na zachód w Lutowie zaczęli się pojawiać maruderzy radzieccy. Chodzili od domu do domu i prosili, aby ich nakarmić. Pewnego dnia zatrzymali się u nas na nocleg dwaj oficerowie radzieccy. Byli sympatyczni, rozmowni, inteligentni i wykształceni. Prowadzili z ojcem do późnego wieczora rozmowy polityczne. Rano po śniadaniu ruszyli w drogę. Ledwie uszli ze 20 metrów, gdy od strony sąsiada nadjechało na koniach dwóch żołnierzy NKWD. Bez żadnego słowa dopadli do oficerów i bykowcami bili gdzie popadnie. Na zmianę poganiali ich w kierunku drogi, aż przykro było patrzeć. Gdy któryś z oficerów upadał, poganiali pierwszego i za chwilę wracali do leżącego.

W połowie kwietnia postanawiamy ruszyć w dalszą drogę do Gdyni. Zabraliśmy brata Konrada i naprzód. W czasie jazdy pierwszego dnia kilkakrotnie musieliśmy chować się po rowach, ponieważ strzelano do nas z broni ręcznej z domów oddalonych od drogi o kilkadziesiąt metrów. Kule świstały nad naszymi głowami, ale na szczęście żadna nie trafiła. Wszędzie było pełno porzuconej przez Niemców broni i amunicji, dlatego niektórzy mieszkańcy robili sobie głupie żarty i strzelali na postrach.

Na głównych drogach nadal panował duży ruch wojsk radzieckich, więc cały czas omijaliśmy większe miejscowości. Po paru dniach jazdy z przygodami dotarliśmy na Kaszuby do Kolna koło Kartuz. Zatrzymaliśmy się u miejscowego szewca. Wóz pozostawiliśmy na podwórzu, a woły umieściliśmy w stodole i karmiliśmy sami szukając karmy w innych gospodarstwach. O dalszej podróży nie mogło być mowy, ponieważ trwały nadal walki pomiędzy Kartuzami a Gdynią.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że wojna toczy się na przedmieściach Gdyni postanowiliśmy, że najpierw pójdziemy tam pieszo we dwóch – ja z Genkiem. Przygotowaliśmy sobie prowiant do plecaków i wczesnym rankiem udaliśmy się w kierunku Żukowa. Uszliśmy zaledwie kilka kilometrów, kiedy zatrzymali nas żołnierze radzieccy i zagonili do naprawy drogi. Po wiosennych roztopach i przejeździe ciężkiego sprzętu wojskowego drogi były bardzo zniszczone. Trzeba było je wyrównywać.

Po kilku godzinach udało nam się zbiec i dotrzeć do Żukowa. Tu napotkaliśmy przejeżdżających żołnierzy polskich, którzy zabrali nas na czołgi i dowieźli do przedmieść Gdyni. Dalej sami ruszyliśmy przez Orłowo do centrum miasta. Okazało się, że Niemcy prowadzą ostrzał z pancernika. Gdy zaczęły wybuchać pierwsze pociski próbowaliśmy schować się w którejś piwnicy. Zaglądaliśmy do każdego napotkanego bloku, ale nigdzie nas nie wpuszczono, bo były przepełnione ludźmi. Przypadkowo napotkany mężczyzna zaprowadził nas wreszcie do domu naprzeciwko restauracji „Polonia” i umieścił w mieszkaniu na trzecim piętrze, gdzie przebywało siedem młodych kobiet i starsza pani – jak się później okazało dalsza krewna mojej matki Katarzyny. Zjedliśmy wspólnie kolację. Byliśmy już po posiłku, kiedy w sąsiedni blok uderzył pocisk. Kobiety w pośpiechu uciekły na dół do piwnicy, a ja wziąłem pod rękę starszą panią i powoli schodziłem po schodach. Byliśmy na wysokości drzwi wejściowych, gdy na ulicy eksplodował drugi pocisk. Wybuch spowodował gwałtowne otwarcie drzwi, a podmuch powietrza zrzucił nas do piwnicy. Na szczęście poza kilkoma sińcami specjalnie nie ucierpieliśmy. Po zakończonym ostrzale wróciliśmy do mieszkania i przez parę dni nigdzie nie wychodziliśmy z domu. Noce spędzaliśmy w piwnicy.

Kiedy walki ucichły poszliśmy do portu. Z magazynów portowych nabraliśmy pełne plecaki żywności, jak cukier, mąka, konserwy, a także papierosy „Juno”. Potem znalazłem wolne mieszkanie przy ulicy Świętojańskiej 108 na piętrze. Ustaliliśmy z Genkiem, że on zostanie na miejscu, aby pilnować naszego lokum, a ja sam wyruszę w drogę powrotną i sprowadzę tu resztę rodziny.

Wyszedłem następnego dnia rano z plecakiem pełnym jedzenia. Po drodze w Kacku jakiś żołnierz sowiecki zatrzymał mnie i razem z innymi ludźmi zapędził do pracy przy odbudowie mostu. Nie wiem jak długo musiałbym tam przebywać gdyby nie udało mi się przekupić wartownika papierosami. Starszyzna ulitował się nade mną, wyprowadził z lasu i pozwolił iść dalej. Po drodze do Kolna miałem jeszcze kilka przygód, ale najważniejsze, że wkrótce razem z rodziną znalazłem się w Gdyni. Na miejscu wyładowaliśmy swoje rzeczy z wozu i przenieśliśmy do mieszkania pilnowanego przez Genka. Woła przeznaczaliśmy na mięso. Oddaliśmy go do pobliskiego zakładu rzeźniczego prowadzonego przez pana Dudę. Mięso z woła zasoliliśmy w beczkach i dzięki temu w początkowym, trudnym okresie mieliśmy co do garnka włożyć.

Po paru dniach naszego pobytu w Gdyni zjawili się przedwojenni właściciele mieszkania zajmowanego przez nas. Musieliśmy się wyprowadzić. Wynajęliśmy furmankę i konia i przeprowadziliśmy się do Sopotu. Zamieszkaliśmy w pięknej, piętrowej, ponemieckiej willi, nieuszkodzonej podczas działań wojennych, a do tego z kompletnym wyposażeniem. Skończyło się więc tułaczne życie, ale nastąpiła bieda. Nie było co jeść i za co kupić żywności. Sprzedawaliśmy na ulicy różne nasze rzeczy, aby mieć trochę pieniędzy. Chodziliśmy z mamą szukać jedzenia w jednostkach radzieckich. Dostawaliśmy tam obierki z ziemniaków, które czyściliśmy i zjadaliśmy zamiast obiadu.

Ojciec, widząc że sporo czasu upłynie zanim zostanie uruchomiony port i będzie możliwość podjęcia pracy, wyjechał na Ziemię Zachodnią do Drezdenka. Młodsze rodzeństwo zaczęło uczęszczać do szkoły powszechnej w Sopocie. Ja podjąłem pracę a zarazem naukę w zawodzie ślusarza, w wodociągach miejskich. Po krótkim czasie znalazłem zatrudnienie w Związku Zawodowym Marynarzy. Odtąd codziennie przynosiłem do domu świeży chleb i produkty spożywcze.

Za jakiś czas przyszła wiadomość od ojca, żebyśmy się pakowali i jechali do niego do Drezdenka. Cóż było robić? Musiałem przerwać pracę. Spakowaliśmy swoje rzeczy i poszliśmy na dworzec kolejowy. Był to koniec lipca 1945 roku, pociągi jeszcze nie kursowały regularnie. Kiedy wjechał na peron tłum rzucił się do wagonów. Ścisk był tak ogromny, że z trudem umieściłem matkę w przedziale, rodzeństwo poupychałem w kilku innych miejscach, a sam... zostałem na zewnątrz z dwoma walizkami. Nie miałem już szans dostać się do pociągu, który zresztą zaraz ruszył. Zatrzymał się pod semaforem. Złapałem walizy i pobiegłem w tamtą stronę. Zziębnięty dopadłem do transportu i z bagażami ulokowałem się na stopniach wagonu. Trzymając się uchwytu, z tobołkami między nogami dojechałem do Bydgoszczy, gdzie przesiedliśmy się do znacznie mniej zatłoczonego pociągu na Poznań.

W Drezdenku burmistrzem był mój kuzyn Stefan Sekuterski, który mianował mego ojca kierownikiem kilku tartaków. W nowym miejscu zamieszkania szybko się zadomowiliśmy i w końcu pozostaliśmy tu na stałe. Ojciec zmarł w 1979 roku, a moja druga matka Katarzyna kilka lat później. Bracia i siostra skończyli szkoły i założyli swoje rodziny. Ja założyłem rodzinę w 1954 roku, a z moją żoną Haliną doczekałem się dwóch synów – Jacka i Pawła.